

Spotkanie na pokładzie (I)

Potężne cielsko transkontynentalnego odrzutowca DC-10, należącego do zachodnioleniemieckich Linii Lotniczych „Lufthanza”, drgnęło i zaczęło powoli toczyć się w stronę startowego pasa. Była godzina 7 ostatniego dnia stycznia 1976 r.

Tarcza słońca pięta się tu w Delhi już wysoko w górę i oświetlała swymi promieniami pożółkłe trawy lotniska. Od pasów startowych, falując z lekka, odrywało się nagrzaną dość mocno powietrze.

Potężny kadłub wchłoniął w siebie i zamknął w swych przepastnych fotelach grubo ponad 200 pasażerów, którzy — posłuszni świetnej prośbie — dopinali w pośpiechu pasy. Leszek rozparł się wygodnie w swym fotelu i obrzucił spojrzeniem najbliższych pasażerów, dochodząc do wniosku, że przez najbliższe 9 godzin będzie mógł raczej spokojnie oddać się własnej błogiej kontemplacji i rejestracji tego wszystkiego, co przynosi dziś przelot wspaniałym nowoczesnym odrzutowcem na gigantycznej

m.n.p.m.). W dolinie szemrał górski potok, Łososina zwany. Po deszczach lub wiosną stawał się rwący, głęboki i groźny. Pędził swe wody z zawrotną szybkością, jakby mu się spieszyło utopić je w szerokim korycie króla rzek górskich w Polsce — Dunajcu.

Ojciec widział w Leszku następcę swego dziedzictwa. Pewno udałoby się to, gdyby nie ten niefortunny dla ojca, a ważny dla Leszka wyjazd do Krakowa. Na tamtejsze lotnisko...

Stara się przypomnieć sobie przy jakiej to było okazji. Na próżno. Pamięta jednak, że były tam tłumy ludzi. W rzędzie stały samoloty, obok krzątało się ludzkie, warczały zapuszczone silniki. Mówiono o wielkich sukcesach polskich pilotów w różnego rodzaju lotniczych zawodach.

Ścisłał kureczowo dłoń ojca i z wypiekami na policzkach chciał wszystko widzieć, wszystkiego dotknąć. Nie myślał już o locie, bo to było nieosiągalne, choć na myśl o tym serce mu drżało i powstawał zwrót głowy.

Ojciec odczytał tęsknotę syna i mając sobie tylko znane dojścia, sprawił radość chłopcu. Nie wiedział, że tym przekreśla swe plany pozostawienia Leszka w rolniczym szkolnictwie.

PILLOT

trasie z Delhi do Frankfurtu w RFN.

Prędkość narastała, czuć było tarcie kół o pas. Przód samolotu, jakby stając dęba, uniósł się ku górze, a po chwili całe to potężne, ważące ponad 100 ton techniczne чудо, musnąwszy raz jeszcze jakby na pożegnanie gładź betonu, uniosło się w powietrze. Z końca samolotu dochodził miarowy szum potężnych trzech silników, które siłą ponad 40 tys. kg ciągu wypychały cygarowaty kadłub maszyny coraz wyżej i wyżej.

W dole zostawała potężna metropolia Indii. Zostawała też jedna z największych przygód Leszka.

To co się przed chwilą zaczęło — lot, to już ostatni etap tych przeżyć. To co było, zostało w pamięci i w kilku notatkach, jakie poczynił na użytek służbowy. Notatki zawierały jednak tylko cyfry i dane niezbędne dla zakładowych spraw, które przywiodły go aż tu do Indii, a znacznie bogatsze przeżycia zostały niezatarte w jego pamięci. Składały się na nie wszystkie te wrażenia i odczucia, które odbierał wszystkimi zmysłami.

Szkoda — myślał — że tych ubarwionych, wycieniowanych obrazów kontrastu i egzotyki nie można zachować na zawsze na ekranach pamięci. Zacierają się już teraz, wraz z wznoszącym się ku górze samolotem. Co to będzie za kilka lat? Poruszył się niespokojnie na fotelu i wiedziony tym tokiem rozumowania sięgnął pamięcią wstecz.

Murowany dom, były dworek, zamieniony na szkołę rolniczą. Wokół pięknie utrzymany ogród, szklarnie, nieco dalej stajnia, wzorowa baczówka, szkółka sadownicza, własne zakłady tkackie, pięknie prowadzone sadownictwo, oto obraz z życia najmłodszych lat Leszka i niepodzielne miejsce mozolnej pracy jego ojca. Jak na lata 30-te, była to wzorowa podhalańska szkoła, która wskazywać miała mieszkańcom tego regionu kierunki racjonalnej gospodarki górskiej. Umiejscowiona była w Łososinie Górnej, w przepięknej dolinie Beskidu Wysokiego, na północnej stronie Gorców, wśród których, wznosząc dumnie swój szczyt, świeciła w słońcu Mogilica (1170

Nieco później Leszek stał się uczniem Gimnazjum i zaczął marzyć mu się szlify pilota zawodowego. Alarmowe wojenne syreny 1 września 1939 r. przecinały brutalnie te jego plany, jak i tyśiącom innym młodym.

Twarda góralska natura stawia czoła przeciwnościom. Nasz bohater znajduje drogę do nauki, garnie się do wiedzy. Przy karbidowych lampach podejmuje nauczanie z zakresu szkoły średniej. Niemal spod ziemi, narażając życie, zdobywa podręczniki, studiuje niezbędny materiał i oczekuje lepszych czasów.

1 listopada 1945 roku został studentem pierwszego roku Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie na Wydziale Komunikacji o kierunku lotniczym. Tak zaczynają się spełniać skryte marzenia...

Środowisko, z którym się styka, jest niezwykle prężne i odważne w działaniu. Nie zaspokaja ich poznanie samej teorii. Powołują sekcję lotniczą Wydziałów Politechnicznych przy AGH. Mają własny sprzęt — szybowce i samoloty. Uśmiecha się na myśl o prostym, krętym szybowcu szkolnym, typu SG-38 i mimo woli uzmysławia sobie gdzie jest.

Siedzi w wygodnym fotelu, nad nim ocean błękitów, a pod nim 10-tysięczna przepaść. Daleko w dole nieco barankowych cumulusów, urozmaicających wyłaniającą się z zamglenia powierzchnię ziemi. Z głośników płynie jakaś angielska rytmiczna melodia, w wykonaniu młodzieżowego zespołu, którego nazwy nie pamięta, ale wie, że piyta ta jest w posiadaniu jego syna w prywatnej domowej płytotece.

Głos stewardessy zapowiada wlot nad terytorium Pakistanu. Prosimy zwrócić uwagę na południowy masyw Hindu-Kushu — styszy.

Granatowo-brunatno-żółte szczyty zaczynają wyrastać przed samolotem. Sięgają coraz wyżej i wyżej. Nie zagrażają jednak maszynie i szybko ustępują żółtawoszarym i również pofaldowanym i postrzępionym obszarom Iranu.

(e.d.n.)

